

## Piechotą po poligonie

---

Wyszło nas pięciu albo sześciu. Silni młodzi mężczyźni z czternastoletnią duszą na ramieniu. Przygnieceni ciężarem plecaków, menażek, chlebaków i pistoletów na ostre kapiszony.

Miałem na sobie takie szerokie wojskowe spodnie w kolorze brudnej oliwki. Dlatego brudnej, bo prawa nogawka miała ciemne plamy, których mamie nie udało się doprać. Spodnie były duże. Nogawki musiałem podwijać, ale i tak co chwila się potykałem. Ale to nieważne. Byłem bardzo dumny z tych spodni. To były spodnie po starszym bracie. Od miesiąca już mu niepotrzebne. I stąd te plamy. I dlatego byłem z nich dumny. Ciężko być dumnym z nowych spodni, które uszyła ciocia. Ale z takich, które ubrudził starszy brat i które są za duże, można.

Był z nami taki Jasiek. On też miał spodnie, z których można być dumnym. Ja przynajmniej byłbym, mimo że to były takie bardziej dziewczynskie spodnie. Miał je po siostrze. Mówił, że ma na imię Marysia. Ale jego spodnie nie były brudne, bo jego siostra została sanitariuszką i teraz nosi spódnice. Podobno wszystkie sanitariuszki noszą spódnice. Chciałbym kiedyś trafić do szpitala do takiej sanitariuszki. One są podobno bardzo miłe. I bardzo ładne. I jak przychodzi do nich taki młody mężczyzna jak ja to do zastrzyku dają mu cukierka. Ja się igły nie boję, to mógłbym mieć dużo takich cukierków od ładnych i miłych sanitariuszek.

Szliśmy do lasu. Na wojnę. Nie wiem, czemu ta wojna jest w lesie. Ale pamiętam, że jak byłem jeszcze mały, to często bawiliśmy się w wojnę z bratem i jego kumplami. Bo teraz już mały nie jestem, chociaż moja mama uważa inaczej. Ale Bolek powiedział, że mamy tak zawsze. I też zazwyczaj bawiliśmy się w krzakach. Albo w lesie. Ale w lesie rzadziej, bo do lasu było daleko. Tylko, że ja zawsze byłem najmłodszy i musiałem ich wszystkich słuchać. I pierwszego mnie zabijali. Ale teraz już nie jestem najmłodszy. I teraz ja będę mógł zabijać, bo mam broń i jestem prawie dorosły. I to już nie będzie w krzakach, ale w prawdziwym lesie. Takim z dołami i dzikami, i dużymi paprociami.

Weszliśmy do tego lasu rano. Było jeszcze ciemno i w lesie było zimno i mokro. Ale my się nie boimy ciemności, bo ciemności boją się tylko smarkacze. Szliśmy wtedy przez ten las długo. I bardzo cicho. Kazali nam iść bardzo cicho, tak żeby nas nikt nie widział i nie słyszał. Szliśmy więc po mchu. Bo to był taki piękny las z ogromnym dywanem z mchu. I wrzosów. Moja mama bardzo lubi wrzosy, ale nie mogłem ich dla niej zabrać. Szkoda. Kiedyś, jak skończy się wojna i nie trzeba już będzie chodzić po cichutku, przyjdę do tego lasu i zbiorę dla niej wielki bukiet wrzosów.

Po paru godzinach takiego wędrowania po lesie zrobiliśmy się głodni. Najstarszy z nas – Bolek zarządził przerwę na obiad. Bolek był bardziej dorosły od nas wszystkich. Miał szesnaście lat. I dlatego został sierżantem. Każdy miał w plecaku coś do jedzenia, włożonego tam przez mamę lub siostrę. Ja miałem suchary i ciepłe mleko w termosie. A po drodze znaleźliśmy jeszcze maliny.

Nie wiem, która była godzina, bo nie mieliśmy zegarka. Mój ojciec kiedyś miał zegarek. Taki ładny, ze skórzanym paskiem. Po dziadku. Ale przyszli żołnierze i zabrali zegarek. I jeszcze mówili coś w obcym języku, ale ja nie znam tego języka i nie wiem co mówili. W każdym razie teraz jest wojna i nikt u nas na wsi nie ma zegarka.

Mój tata mówił, że ludzie zawsze bawili się w wojnę. Tacy jak my biegali i się strzelali, a bogatsi i bardziej znani mówili im do kogo mają strzelać. A ci najbogatsi i najbardziej znani bawili się w strategów. Mieli duże mapy i żołnierzy, i czołgi, i okręty. Rozstawiali je na tej mapie i wygrywali wojny. Ja też chciałem zostać takim strategiem albo chociaż średnio znanym dowódcą. Dlatego kupowałem sobie co tydzień w sklepie w mieście ołowiane żołnierzyki. Po paru miesiącach miałem już całkiem dużą armię i ustawiałem ją w kuchni na podłodze. Czasem też strzelałem do niej z kolegami z takiej małej procy i żołnierze przewracali się i ginęli.

Teraz jestem takim zwykłym szeregowym żołnierzem, ale jak będę dobrze walczył, to na pewno zostanę strategiem. Mój tata mówi, że nie można tak sobie zostać strategiem, ale ja i tak zostanę.

Po obiedzie ruszyliśmy dalej. Przed wyjściem powiedzieli nam, że wieczorem dotrzemy do bazy. Do wieczora było jeszcze daleko, więc do bazy też. Ciekawe czy w tej bazie są sanitariuszki...

Ale nie całą drogę mieliśmy taką spokojną i zieloną jak mech i paprocie. W pewnej chwili usłyszeliśmy

szelest. Ten najmłodszy – Jasiek od spodni po siostrze sanitariuszce – krzyknął, że to dzik. To było ostatnie co krzyknął. I przewrócił się jak ołowiany żołnierz zestrzelony z procy. Szkoda mi tego Jaśka, bo to był fajny chłopak. Bardzo wesoły. I lubił opowiadać historie, których wszyscy chętnie słuchaliśmy podczas tego wspólnego obiadu z malinami.

My schowaliśmy się w dole za leszczynami. Słyszałem strzały i co chwila jakieś okrzyki w obcym języku. Chyba tym samym mówili ludzie, którzy zabrali mojemu tacie zegarek. My też mieliśmy broń, więc strzelaliśmy. Trochę na oślep, bo zza gałęzi niewiele było widać, ale chyba kogoś trafiliśmy, bo tamci się wycofali. Nas też trafili. Na pewno oberwał Heniek. W nogę. Przewinęliśmy tą nogę chustką i pomogliśmy mu iść. Bardzo go bolało, chociaż nic nie mówił. Nawet próbował się uśmiechać. Ale to był taki wykrzywiony uśmiech. Przez łyzy. Na miejscu zabiorą go pewnie do szpitala i tam sanitariuszki zrobią tak, że nie będzie go bolało.

Wkrótce dotarliśmy do bazy. Wyszedł do nas taki duży i groźnie wyglądający żołnierz, któremu złożyłem raport: „Wyszło nas pięciu albo sześciu, dotarło trzech i pół.”.

---

Autor: Inez

Artykuł pobrano ze strony [eioba.pl](http://eioba.pl)